DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 1 sierpnia 1889 r. — Nr. 22.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Kazimierz Odnowiciel.

(Wyjątek z przygotowanej do druku: „Świątyni Narodowej Sławy.“)

Rośnie pacholę pod cieniem gór,
Wieść mu pogwarza jodłowy bór,
Z mnichami pieśni zawodzi w chór,
Lecz szaty mniszej nie oblekł on.

To wnuk Chrobrego, to lacki Piast,
Dziedzic warownych grodów i miast,
Gdzie orły patrzą z wysokich gniazd,
Rychło zasiędzie ojczysty tron.

Nim to nastąpi, siłaż tam wprzód
Rzeki do morza potoczą wód,
Olbrzymia praca, wytrwały trud,
Mnogo mu potu wyciśnie z żył.

Ależ w nim kipi Chrobrego krew,
Pierś mu szalony rozsadza gniew,
Ryczy jak w troki spętany lew,
Bezczynny w pełni młodzieńczych sił.

A nie opuszcza młodzieniec rąk,
Skarby nauki zdobywa z ksiąg,
Wzrokiem po świecie zatacza w krąg
Ze stromych szczytów chrobackich skał.

Staje mu w oczach poznański tum,
I słyszy Warty żałosny szum,
I słyszy podźwięk ojczystych dum
Co nad kolebką słodko mu brzmiał.

„Kiedyż — zawoła — powitam was?
Jam z dziecka wyrosł, — działać mi czas!“
I głową bije o twardy głaz,
W kułak żylastą zaciska pięść.

Aż król, co z młodych niańczy go lat,
Woła go, rzecze: „Ruszaj-że w świat,
Dam ci stu dzielnych, rycerstwa kwiat,
Jedź Kazimierzu, Boże ci szczęść!“

Zerwie się młodzian, pomyka w cwał,
Przez strome zwały chrobackich skał,
Gdziebądź zasłyszy pogwizdy strzał,
Do boju wiedzie junaków stu.

Oburącz chwyta hartowny miecz:
„Siecz-że — zawoła — dzielnie mi siecz!
W zapasach kroku nie cofnę wstecz,
Dziś mi krwawego potrzeba chrztu!

„Bo w zgliszczach leży mych ojców dom,
A któż od zrębów odegna srom?
Kto z chmury wydrze ognisty grom? —
Moja to sprawa — jam król! ja pan!“

Pomknie do boju Piast młody nasz,
Już się ze śmiercią spotkał twarz w twarz,
A nad nim Anioł snać trzyma straż.
On żyw, krew tylko tryska mu z ran.

Chwały promienny błysnął mu świt,
Z rąk mu nie wypadł ni miecz, ni szczyt,
Z wesołem sercem otuchy syt,
Śmiało w cesarski kołacze próg.

Henryk życzliwie przystąpi doń,
Szczerbiec Chrobrego składa mu w dłoń:
„Nim Polska padnie w bezdenną toń,
Przez ciebie, rzecze, dźwignie ją Bóg!

„Daję ci zastęp, z nim naprzód dąż,
Jest ich pięciuset, a w męża mąż,
Musisz ty walczyć, szarpać się wciąż,
Nim dźwigniesz w górę upadły gmach!“

Rycerz z drużyną pomyka w lot,
Od kopyt końskich rozległ się grzmot,
Rychłoż domowych dobieży wrot?
Zaznał je tylko w młodzieńczych snach.

Dalej a dalej! co tchu, co sił,
Krew ledwie z wrzących nie tryska żył,
Tuman kurzawy słońce mu śćmił,
Że Warty białych nie dostrzegł wód.

Ale posłyszał jej fali szum,
Brzmiący oddźwiękiem ojczystych dum,
I chwyta wspomnień dziecięcych tłum,
I drogą rzekę przepływa w bród.

Bieży do tumu, gdzie leży dziad,
U grobu twarzą na ziemię padł.
„Wesprzyj mnie, woła, ukaż mi ślad
Twoich, olbrzymie, zwycięzkich stóp!

„Dość gromów padło w tę ziemię, dość,
Jam krew z krwi twojej, twych kości kość,
Pod skrzydły twemi pozwól mi wzróść!“
I łzami drogi oblewa grób.

A potem powstał krzepki jak dąb,
Patrzy na zamek: runął już w zrąb,
Dokoła gruzy, lecz spojrzy w głąb:
Węgły bezpieczne! mniejsza o dach.

Nad Wartą blady przeciągnął mór,
Kwilą puszczyki, żałobny chór,
Lud w głębię leśnych ukrył się nór,
Ziemia skąpana we krwi, we łzach.

Wtem zagrzmią trąby: jak ptacy z gniazd
Zerwą się zbiegi — „To Piast nasz! Piast!
Bogarodzica znad jasnych gwiazd
Spojrzała na nas! ha! Boży cud!“

Kędy z taborem u Gniezna bram,
Stanął król młody, rój bieży tam,
„Ej Gospodynie ty miły nam,
Witajże, witaj!“ wykrzyknie lud.

A kiedy Piastów rycerski wnuk,
W złoty Chrobrego zadzwoni róg,
Od kresów Polski odbiega wróg
Het poza Wartę — jak wichrem gnan.

Jutrzenka błyska, poczyna dnieć,
Z pługiem na rolę wychodzi kmieć,
„Hej na Mazowsze orle mój leć!“
Woła z otuchą ziem lackich pan.

„Hydrę pogaństwa tam w gnieździe zduś,
Jadem jej Wisła zatruta wskroś,
Ty jej nie zdusisz, dopóki Ruś
Nie pomknie torem twych orlich dróg!“

U złotej bramy wyrasta kwiat,
Cudna Rusinka spogląda w świat,
Patrzy na zachód: rychło-li swat
Nie zakołacze w ojcowski próg.

Marzy na jawie, marzy we śnie: —
Wtem dziarski orszak z kopyta tnie,
Aż tam na Dniepru skalistem dnie
Odbrzmiały dźwięki spiżowych trąb.

Któżby Piastowi odmówić śmiał,
Książę dał córkę i w posag dał
Drużynę zbrojną w tysiące strzał,
Niech jego domu podeprze zrąb.

Przywiodły posły w królewski gród
Hożą Rusinkę, urody cud,
Jak w jasną zorzę patrzy w nią lud,
Króla radosny ogarnia szał.

Nie długie gody! — skończyć je czas!
Błysnął na słońcu oszczepów las,
Lechickie druhy z Rusiny wraz
Na głos pobudki popędzą w cwał.

Po przedzie pomknie piorunem Piast,
Pędzą przez zgliszcza zgorzałych miast,
Z pokrakiem sępy zerwą się z gniazd,
Z daleka ciepłą zwietrzyły krew.

Ha! krwi tam morze i trupów stos,
Jak pod zamachem żelaznych kos,
Pada na polu dojrzały kłos,
Jak rąbie topór wiorzyska z drzew.

Tak oszczep wali pokosy ciał,
Bój wre zażarty, jak ongi wrzał,
Gdy zpod Wawelu spiętrzonych skał,
Powalon grotem wypełzał smok.

Pod mieczem Piasta on Masław padł,
Co w legowiskach poruszył gad,
Zgromadził chmury jastrzębich stad,
Nad Wisłą nocny rozpostarł mrok.

Już ziemia zcicha wypija krew,
Na roli Bożej kiełkuje siew,
Pnie rosochatych padają drzew,
Piętrzą się domy na zgliszczach miast.

Nie dzwoni oszczep, spoczywa łuk,
I tylko słychać toporów huk,
Tak gospodarzy Chrobrego wnuk
Miły ludowi Kazimierz Piast.

Seweryna Duchińska.

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Ciąg dalszy.)

„A więc to już ostatnie pani słowo?“

„Ostatnie i nieodwołalne.“

Nastąpiła chwila milczenia. W mózgu wujaszka skakały i koziełkowały najdziwaczniejsze myśli, jak czarownice w noc miesięczną na Łysicy. Co najciekawsza to to, że pod wpływem nadmiaru bólu i rozdrażnienia Edward uczuł w sobie chęć niepowściągnioną powiedzenia czegoś, coby zakrawało na karykaturę i drwiny. Miał chwilę, w której począł sobie tłomaczyć — że to „facecya“, z której wartoby się śmiać do rozpuku. Nie głupi wiecznie dręczyć się i karwięczeć! Wujowi Edwardowi jak błyskawica przebiegło przez głowę wspomnienie pewnej panienki od igły i nici — która chorowała na górno-

lotne „delikatne“ wyrażenia. Nie pytała ona nigdy „czemu?“ lub „dla czego?“ ale wyrażała się o wiele szlachetniej, pytając: „z przyczyny?“....

Podniósł się więc wujaszek ze siedzenia — a wyprostowawszy się jak struna, stanął sztywno i pewno przed wnuczką Sardanapala. Spojrzał na nią długo — przeciągle — i słodziuteńkim głosem, mierząc ją od stóp do głów, zapytał:

„Nie podobam się więc pani. Z przyczyny?“...

A potem zrobiwszy w lewo zwrot, odszedł cospieszniej w drugi kąt sali.

* * *

Siedział tu znów chwilę, bo cóż mógł zrobić lepszego? Koniec końcem przez całe życie siedzi się — lub nie siedzi — chodzi się lub leży. Na zakończenie całej tej dość lichej odmiany w siedzeniu lub niesiedzeniu, czeka nas leżenie — podobno dość długie....

Siedzącego wujaszka trąca coś nagle pod ramię. Tem „czemś“ to znów Apis, poczciwy Apis o złotym binoklu.

„Edwardzie! co ty wyrabiasz — tłuczesz się z kąta w kąt — nie tańczysz — nie odpowiadasz. Z kim to tam przed chwilą rozmawiałeś?“

„Nie znam tej maski. Idź, pogadaj z nią — może ci powie, jak się nazywa, gdzie się rodziła, zkąd przybywa i dokąd dąży.“

„Zdaje mi się, że musi być bardzo ładną“....

„Mnie się też tak zdaje.“....

Ale Apisowi nie wystarczało widocznie owo podwójne „zdawanie“. Chcąc się widocznie dokładniej o tem przekonać, czy „zdawanie się“ zgodnem tu było z istotnym stanem rzeczy, pobiegł cospieszniej w kierunku przeciwprostokątni. Wujaszek ścigający go machinalnie wzrokiem, widział, jak egipskie bożyszcze zasiadło między obu mieszkankami starożytnej Asyryi — jak się między niemi rozsiadło wygodnie — jak w moment z niemi ożywioną rozpoczęło rozmowę.

Apis stanowczo szczęśliwszym był od wujaszka mizernika. Piękna maseczka z szafirowemi oczyma i złotemi kędziorkami śmiała się wdzięcznie i dźwięcznie w czasie tej rozmowy — a z śmiechów tych, spojrzeń i ruchów, coraz to większe wyczytać można było zajęcie, ba, i przejęcie się nawet!

Żmije zazdrości strasznej poczęły szarpać wnętrze wujaszka Edwarda. Gryzły one tak zaciekle, tak dojmująco to nieszczęśliwe „wnętrze“ — że w końcu wujaszek ze strachu przed szybką a zupełną zagładą zdecydował się bez namysłu na krok heroiczny ku ratunkowi ciała i duszy.

Lewą ręką schwycił się za dolną szczękę, ciągnąc ją gwałtownie na dół. Prawą dłoń wsadził sobie głęboko w gardło, sięgając aż do serca i wnętrzności. Kurczowo wyprężone palce domacały się gniazda żmijowego, a pięść zaciśnięta pochwyciła wszystkie owe płazy jadowite, które zrodziła jedna minuta mąk piekielnych zazdrości. Następnie rozpaczliwym ruchem wyszarpał wuj Edward wstrętne gady z gniazda i w tejże samej chwili rzucił je wszystkie, drgające i rzucające się na podłogę.

Krzyk, zgiełk i popłoch powstał straszny w sali — ale nie usłyszał już niczego wuj Edward — bo wybiegłszy cospieszniej, piorunem stoczył się ze wschodów, a sekundą później biegł przez ulice ku domowi.

VI.

Tak więc powiodła się kuracya radykalna a szybka — szybsza znacznie od owej metody użytej niegdyś przeciw wymoczkom, co się wylęgły z łez wypitych z wodami perskiego strumienia. I byłoby może znów „wszystko dobrze“ — gdyby nie to, że istnieją tu na naszym miłym planecie t. z. „klucze od kamienic.“

Owóż tedy wuj Edward, opuszczając tak spiesznie salę balową, zapomniał na śmierć zabrać ze sobą instrumentu zwanego „kluczem od kamienicy“. Małe owo zapomnienie tłomaczyło się tem, że klucz znajdował się w innym instrumencie, zwiącym się „zimowym paltotem“ — a wujaszek i paltota wynieść ze sobą zapomniał. Zrazu biegł wujaszek przez ulice miasta tak szybko, jak w biblii ów „chromy, który wyskoczył jako jeleń.“ Nie poczuł zimna, nie czuł braku paltota — nie miarkował nieobecności kluczy od kamienicy i mieszkania. Kiedy jednak już tylko o kilkanaście kroków znalazł się od domu — ochłonął nieco w zapale ucieczki — a dziwnie mu się jakoś zdało na ciele i duszy.

Była to wówczas, jak powyżej już zapisaliśmy, noc śnieżysta z dnia 15 na 16 lutego. W chwili kiedy wuj Edward blizkim już był mieszkania swego, na ratuszowej wieży zegar wybił w pół do drugiej z rana. Temperatura powietrza była bardzo świeża -- powiedzmy nawet: chłodnawa — ot tak coś koło 14 stopni Réaumura niżej zera.

Francuzki kostyum, w którym przebiegł wujaszek tak chyżo przestrzeń z hotelu do domu — był wprawdzie skonstruowany z pięknego, cieniuteńkiego atłasu „bleu de ciel“ — ale był coprawda może nieco zbyt lekkim i powiewnym jak na ową prawdziwie słowiańską noc zimową.

To też gotów może wykombinować sobie domyślny czytelnik — że wujowi Edwardowi mimo „zapału ucieczki“ w końcu chłodno i mroźno zrobić się musiało. W chwili, kiedy stanął przed bramą numeru 19 ulicy, na której mieszkał, nagle oprzytomniał zupełnie.

Teraz dopiero odczuł, pojął, zrozumiał — że nie ma prawie nic na sobie — że to mróz — że paltot wraz z kluczami pozostał tuż obok balowej sali — a przed nosem wszelkie bramy i drzwi szczelnie pozamykane.

Co tu robić? Czy wrócić po to, czego się zapomniało?

Zdawałoby się to może rzeczą praktyczną i prostą.

Co!... wrócić tam... po tem wszystkiem... i to w jakim stanie!.....

Wszakżeż to śnieg pada gęstemi płatami..... Kostyum wujaszka szkli się wprawdzie nader efektownie — ale z „bleu de ciel“ zmienił się w „blanc d'argent“ najpiękniejsze. Jak to tam ten atłas wyglądać musi pod powłoką śniegu — co jutro powie przyjaciel Łucyan, który go z teatralnej pożyczył garderoby!....

Ale nie teraz czas myśleć o tem wszystkiem.

Wrócić czy nie wrócić?....

Nigdy! przenigdy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hrabina Thea

przez

Elizę Polko.

Tłomaczyła Anna Pilaska.

(Ciąg dalszy.)

Edgar, który się kwestyą toalety żony żywo interesował, prosił matkę, aby się wyprawą przyszłej swej synowej zajęła. To też za przyjazdem do Dorneg, młoda hrabina zastała szafy przepełnione pięknemi sukniami i bielizną, ale ponieważ gust jej bynajmniej z gustem męża i teściowej się nie zgadzał, więc jej ani dobor materyi, a tem mniej kolor nie zachwycił. Lubiła przede wszystkiem barwy jaskrawe, najexcentryczniejszym wybrykom mody hołd składając, i miała się za istotę pokrzywdzoną, skoro jej tylko ciemne suknie i nie dziwaczne kapelusze nosić kazano.

Hrabia przeciwnie, jak każda arystokratyczna natura, nie znosił w ubraniu żony najmniejszego, bijącego w oczy szczegółu i nigdy się na tym punkcie ze sobą zgodzić nie mogli. On stawiał jej zazwyczaj matkę za przykład, której gust nieomal za wyrocznię uważał i której ubranie z toaletą Thei i dziś mimowoli porównał. W długiej, czarnej, aksamitnej sukni hrabina wyglądała dziwnie dystyngowanie i wytwornie, podczas kiedy Thea w białym kaszmirowym ślafroczku z niebieskim aksamitem, który on sam dla niej wybierał, mniej mu się, niż zazwyczaj podobała. Śledząc z szczególniejszą uwagą zachowanie się wzajemne u obudwuch kobiet, doszedł do smutnego wniosku, że dotąd nowoprzybrana córka nie pozyskała jeszcze serca matki. Na wyrazistej twarzyczce Thei odkrył również jakoby niechęć, czy też ukrytą obawę i serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl, że się nigdy żaden serdeczniejszy węzeł między temi dwiema ukochanemi istotami nie zadzierzgnie. Ale był to przecież dopiero początek, a młoda żona kochała go zbyt szczerze, aby się w imie miłości nie nagiąć pod to łagodne i słodkie jarzmo, pozwolić się wychowywać i na coraz to lepszą drogę uprowadzać, a wtenczas sprawdzą się słowa matki: „będzie nam tu dobrze razem ze sobą we troje.“

Późno już było, kiedy się znalazł sam na sam z żoną, której oczy i policzki jak gdyby ogniem pałały.

— Edgarze, zawołała, rzucając mu się na szyję, nie mogę nic pojąć, ani zrozumieć z tego, co nam mama o tych pięknych, dla nas pokupowanych rzeczach opowiadała. Kiedyż ja się nauczę nazw tych białych figur na przykład, nie mówiąc już o obrazach, wiszących w tym długim, wązkim pokoju. Ta duża biała gipsowa pani z lampą w ręku, stojąca w naszej sypialni, powiedz, kogo przedstawiać może?

— Ta śliczna pani, to *Psyche* — odparł, śmiejąc się wesoło — a ja tak długo będę cię uczył i objaśniał, dopóki wszystkiego lepiej ode mnie wiedzieć nie będziesz.

Uśmiechnęła się doń przez łzy, następnie szepnęła cichutko ledwo dosłyszalnym głosikiem.

— Zapiszę sobie wszystkie imiona i nazwiska w książeczkę — ale nie gniewaj się na mnie, Edgarze, gdy ci powiem, że dotąd nigdy nic o tej pani z lampą nie słyszałam.

— Więc od jutra najdroższa moja żoneczka jeszcze i uczennicą zostanie — i gorący pocałunek, wyciśnięty na ślicznych usteczkach Thei przypieczętował to nowe między nimi przymierze.

Takim był pierwszy dzień pobytu młodej pary na starym rodzinnym zamku Dorneg.

. . . .

Czas upływał, lecz na zamku dni mijały jednostajnie, zaledwie nic nieznaczącemi zmianami. Hrabina widywała synową tylko w pewnych, naprzód oznaczonych godzinach, a Edgar, poświęcający się z całem zamiłowaniem gospodarstwu, również rzadkim u niej bywał gościem. Postępowanie syna napełniło ją dumą i radością tem bardziej, że we wszystkiem do jej nieraz skutecznych rad i wskazówek się uciekał. Tylko poobiednia herbata sprowadzała niezmiennie młodą parę do ciepłego saloniku starszej hrabiny, do której się od czasu do czasu miejscowy proboszcz, miły, siwowłosy staruszek, lub ktoś z sąsiadów wraz z żoną przyłączał. To ostatnie jednak rzadziej się zdarzało ku wielkiemu zadowoleniu Thei, znajdującej swe sąsiadki, strasznie sztywnemi i nudnemi istotami.

Przyobiecana przez hrabinę zabawa dla oficyalistów i wieśniaków przyszła nareszcie do skutku i w dniu tym miała Thea po raz pierwszy w całej swej godności, jako hrabina i pani domu wystąpić. Rozczarowanie i zawód odbiły się kolejno na jej ślicznej twarzyczce, kiedy na zapytanie, zadane mężowi, czy biała jej ślubna suknia dość strojną będzie, Edgar roześmiał się wesoło. Skończyło się więc na wzięciu ciemno-niebieskiej, jedwabnej pod szyję sukni i maleńkiego czepeczka na głowę i w tym zakonnym podług niej ubiorze tańce z najstarszym ze służby rozpocząć musiała. Dla sąsiedztwa wydano wkrótce świetny obiad, ale bez tańców, gdyż podobne zebrania nie były na zamku w zwyczaju dla braku gościnnych pokoi, w którychby zaproszonych z dalszych stron gości na noc umieścić można.

Rzecz naturalna, że młoda hrabina była tego wieczora przedmiotem dyskretnej, lecz bacznej obserwacyi. Wiedziano już wszelkie szczegóły szalonego ożenienia się Edgara i na tę wiadomość wszyscy okrzyknęli jednogłośnie, że nawet sąsiedzkie zwykłe pożycie z młodą hrabiną będzie niemożebne. Na swe nieszczęście jednak uprzedzeni z góry nic nadzwyczajnego, lub rażącego podczas tego pierwszego obiadu i wieczora dostrzedz nie mogli. Zachowanie się i toaleta żony Edgara były bez zarzutu. Owszem — w jasno-różowej atłasowej sukni i w czepeczku z białych kosztownych koronek, przybranym bukiecikiem róż i niezapominajek, wyglądała nietylko zachwycająco, ale i nader dystyngowanie, a stara hrabina posadziwszy synową obok siebie, wyłącznie nią tylko się zajmowała. Młoda kobieta mówiła niewiele, lecz jej wielkie fiołkowe oczy zatrzymywały się z nietajonem zadziwieniem na twarzy każdego. Nikt z obecnych nie przeczuwał nawet, że skoro drzwi za ostatnim z gości się zamkną, Thea wybuchnie swym szczerym, wesołym śmiechem i pocznie naśladować ruchy, i sposób mówienia każdego z osobna. A oni wszyscy byli najmocniej przekonani, jak potężne wrażenie na tej osobie wywarli.

— Jeżeli się tak bawicie, to winszuję, ale nie zazdroszczę — oświadczyła Thea nazajutrz mężowi, krzywiąc się okropnie.

W sąsiedztwo wyjeżdżała z mężem i z teściową li tylko dla tego, aby się módz ładnie ubrać i tym sposobem te sztywne woskowe figury kobiet o trochę gniewu i zazdrości przyprawić.

Do bliższych stosunków z żadnym z domów w okolicy nigdy nie przyszło — widocznie trzymano się od młodej hrabiny, o ile możności jak najwięcej z daleka, za czem głównie sąsiadki głosowały. Mężczyźni szczególniej między sobą byli pobłażliwszymi i skrycie się młodą hrabiną zachwycali, pojmując najzupełniej „głupstwo“, zrobione przez Edgara. Ale bo też w towarzystwie męzkiem Thea zmieniała się zupełnie. Nieśmiałość i zwykła małomowność ustępowały miejsca pełnej wdzięku wesołości, a srebrny jej śmiech brzmiał nieustannie do koła. Zdarzało się to jednakże bardzo rzadko, gdyż przy męzkich zebraniach panie domu bywały nieobecne, więc młodą, pełną życia istotę skazano na ciszę i jednostajność, które choć przy boku kochającego męża nie na żarty ciężyć jej zaczynały.

Początkowo ogarnął ją nienaturalny prawie zapał do nauki, do poznania treści wszystkich książek, któremi ją Edgar otoczył. Od hrabiny zażądała wskazywania jej sposobów różnych ręcznych robót kobiecych, które zaczynając, nigdy nie kończyła. Tak samo szło z nauką.

— Ciągle mi jakieś inne myśli przychodzą do głowy — wyznawała otwarcie, — że nie wiem nawet co czytam. Tylko nie mów nic o tem mamie, nie chciałabym, aby o moim braku zdolności wiedziała, podczas kiedy przed tobą nie udaję uczonej, bo taką, jaką jestem, mnie pokochałeś.

Nieraz on sam czytywał jej głośno, lecz wtenczas przerywała mu ciągle pytaniami, nie mającemi najmniejszego związku z czytanym właśnie przedmiotem, a Edgar dla tego słodkiego głosu i dziecięcego śmiechu, gotów był natychmiast przerwać i zamknąć ulubione dzieło. Tylko muzyka męża znalazła w jej oczach trochę łaski, szczególniej mazurki Chopina i wiedeńskie straussowskie walce. Och! wtenczas, jakby za dotknięciem iskry elektrycznej, ożywiała się nagle, a nogi drgały ochotą do tańca. Za to poważne sonaty i muzyka kościelna nudziły ją nad wyraz, a on wyznawał w duchu z żalem, że muzyka dla niej to księga na siedm pieczęci zamknięta, z której Bóg wie

kiedy czytać się nauczy. Natomiast zdarzało się, że, wszedłszy niespodzianie do pokoju, zastał żonę, jak, stojąc przy fortepianie, nuciła półgłosem, starając się jednym palcem wygrać melodyą właśnie śpiewanej piosenki. Były to po części wyjątki z operetek, w których dawniej z takiem powodzeniem występowała. Dostrzegłszy pełen wyrzutu wzrok męża, rumieniła się zmieszana, zapewniając ze łzami, że już więcej tego nie zrobi.

Oczekiwania hrabiego, że Thea stanie się z czasem gospodarną i pełną wdzięku panią domu, spełzły również na niczem. Biedna aktorka, przyzwyczajona od dzieciństwa do najgrubszéj względem siebie posługi, oddała, zostawszy hrabiną, domowy zarząd rękom starej klucznicy. Zdawało jej się, że, nakarmiwszy osobiście ulubionego kanarka i zszedłszy w eleganckim ślafroczku do kuchni, aby zapytać, co będzie na obiad, wypełnia sumiennie swój obowiązek hrabinej. W obejściu ze służbą postępowała nader nietaktownie, będąc raz zimną i nieprzystępną, to znów poufale gawędzącą. Najbardziej cierpiała na tych zmianach Lizeta, skarżąc się z płaczem, że nigdy dogodzić nie może swej pani, będącej chyba uosobieniem nieporządku, tak wszystko dokoła siebie rozrzuca i rozstawia. A przytem liczna jej garderoba musiała być ustawicznie przerabianą i zdarzało się, że to, co dziś uszyła, nazajutrz jej pruć kazała.

Usiłowania hrabiny Berty były niemniej bezowocnemi. Thea, pozaczynawszy z zapałem kilkanaście robót kobiecych, zarzuciła następnie wszystkie, gdyż ich wykończanie przekraczało w jej mniemaniu wszelkie granice podobieństwa. — Nie uczono jej pracy — tłomaczyła hrabina synowi — a ten błąd w wychowaniu trudno naprawić. Lecz jeżeli tylko nasza mała cierpliwości nie straci, to ja ją zawsze dla niej mieć będę.

Od czasu do czasu nadchodziły do zamku pod adresem młodej pani hrabinej dziwnie niewprawnie pisane listy, z których zewnętrznej powierzchowności zamkowa służba złośliwie się śmiała.

Była to korespondencya starej ciotki Thei, mającej obecnie — dzięki wspaniałomyślności hrabiego — byt zapewniony, a która na życzenie siostrzenicy afisze teatralne, lub inne wiadomości teatru dotyczące szczegółowo donosiła. Po odebraniu takiej przesełki młoda pani hrabina chodziła cały dzień z oczami od płaczu czerwonemi, aż Edgar zdziwiony zapytał ją raz o przyczynę tego smutku i łez.
— Sama nie wiem, dla czego płaczę, kiedy te listy odbieram — odparła zarumieniona. Chciałabym wtenczas uciekać do ciotki i zostać u niej długo, bardzo długo, gdyż, chociażeśmy się dawniej nieraz sprzeczały, kocham ją bardzo.

Podczas długich zimowych wieczorów stara hrabina wdawała się z synem w ożywioną polityczną, lub gospodarczą dysputę, zapominając o obecności Thei, którą to nie bardzo interesowało. Wtenczas zazwyczaj wsuwała się niepostrzeżenie w zagłębioną framugę okna i zasłonięta spuszczoną, aksamitną firanką, wyglądała przez duże szyby na dwór, chociażby najciemniej było. A stała i patrzała dopóty, dopóki cudem jakimś mały pokoik starej ciotki nie zamajaczył jej przed oczyma — z potłuczonem zwierciadłem i kulawym stołem, zarzuconym błyszczącym szychem i masą wyblakłych, sztucznych kwiatów a w oddali ukryta orkiestra grała melodyjnego walca. — Ach! gdyby raz tylko znaleźć się w tym małym, eleganckim teatrze i siedzieć w obitej czerwonym aksamitem loży pierwszego piętra, jako pani hrabina strojna w brylanty i aksamitną suknię ku ogólnemu podziwowi i zazdrości.

W początkach grudnia kilku dawnych towarzyszów broni Edgara, a między nimi i baron Gaston von Freyen, oznajmili listownie swoje przybycie do zamku na polowanie.

Edgar, dotknięty nieprzyjemnie tym zamiarem, zdradził się z tem mimowoli przed matką. — Chciałbym uniknąć spotkania się moich przyjaciół z Theą, a jednak to się zrobić nie da. Najchętniej napisałbym im, ażeby nie przyjeżdżali wcale.

— Odmowa twoja dałaby powód do rozlicznych i niepotrzebnych plotek, które najwięcej zaszkodziłyby Thei. Zresztą nie wiem, dla czego nie miałaby żona twoja zachować się stosownie i odpowiednio do nowego a wysokiego stanowiska, jakie obecnie zajmuje, ja sama gotowa jestem ręczyć za nią. Zresztą powinno ci być przyjemnie mództ dawnych twych znajomych i przyjaciół we własnym domu przyjąć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z PARYŻA.

(Dokończenie.)

Wracając do mody, zaznaczyć muszę, że tu nosi się wszystko, i nic nie zwraca uwagi, widziałam np. panie, i to nietylko Szkotki, lub Amerykanki, ale nawet Francuzki, w wielkich futrzanych pelerynach, albo długich boa na szyi i to w czasie największych upałów. Z materyi najwięcej są używane fulary, a amatorstwo do kwiatów posuwają do tego stopnia, że na głowach noszą prawdziwe ogrody, i to zarówno młode jak starsze osoby. Wielkie kapelusze od słońca widuję najrozmaitszych kształtów, ale tak zwane do twarzy, zamykane, są to właściwie maleńkie czepeczki, lub ubranka, w magazynach zwłaszcza innych nie pokazują. Obok kwiatów noszą też bardzo kapelusiki z materyału złotego, używają wstążek i koronek złotych.

Chociaż nie jestem znawczynią muzyki, uderza mnie jednak bardzo brak muzykalnego uczucia u Francuzów. Pomimo wszystkiego, co się czyta w gazetach o tutajszych koncertach i orkiestrach, nie widziałam stolicy, gdzieby się tak mało słyszało muzyki. Na wystawie ma ich być cztery równocześnie, co skonstatować pojedyńczej osobie trudno, bo obszar przestrzeni zbyt wielki, nadto grają tylko dwie godziny, więc na orkiestrę zaledwo kilka sztuczek przypadnie. Sztuki po większej części stare i znane, albo francuzkie bez wyższej wartości, a wykonanie bardzo zwyczajne. Co za różnica z Wiedniem, gdzie w *Volksgartenie* z jednej strony Strauss, z drugiej znakomita orkiestra wojskowa darzą publiczność przez cały wieczor wyborną muzyką! Tutaj nawet w teatrach w czasie entre-aktów nie grają wcale, po ulicach nie słyszysz katarynek, a że artystyczne i klasyczne koncerta, jakie się czasami w Paryżu odbywają, nie są przystępne dla wszystkich, więc ogół publiczności zadawalniać się chyba musi melodyami w licznych *café-chantant*. — Życie i ruch w Paryżu dochodzi do kulminacyjnego punktu, takiego gwaru, obwoływania, turkotu powozów nie usłyszysz nigdzie w świecie; wszystko zdaje się gdzieś spieszyć i dążyć nieustannie, a wszystko wesołe, uśmiechnięte. Dosyć powiedzieć, że nawet odgłos grzmotu w czasie burzy nie zawsze tu rozróżnić można. Na niektórych ulicach, n. p. na *bulwarach*, na ulicy *Rivoli*, na *place de la Madeleine*, *place de la concorde*, albo przy przejściu na *champs élysées* ciżba powozów bywa zwykle tak wielka, że grozi niebezpieczeństwem życia przechodniom, ze wszystkich stron najeżdżają nieraz, co do tego dochodzi stopnia, że policya od czasu do czasu wstrzymuje pochód powozów, ażeby ułatwić pieszym przejście na drugą stronę. Już to policyą w Paryżu widzisz na każdym kroku, ale jest tu ona raczej dla wygody publiczności, aniżeli dla jakiegokolwiek postrachu wichrzycieli publicznego porządku. Tak chce republika i do przesytu powtarzane hasła: *liberté*, *égalité*, *fraternité*. W publicznych ogrodach i na wystawie najpiękniejsze trawniki, a częstokroć i klomby deptane są bez skrupułu nogami mniej doborowego towarzystwa,

tłumy z koszykami, talerzami, butelkami rozkładają się tam swobodnie, trawa po brzegach zniszczona zupełnie. Gdy w przeszłym tygodniu dla odnowienia na wystawie i ochronienia przynajmniej na jakiś czas kosztownych trawników otoczono je delikatnemi, zielonemi płotkami, czytałam zaraz nazajutrz w „Figarze“, że tłumy połamały zapory, pobiły stróżów porządku i przemocą wdarły się znowu na trawniki. Ach! te tłumy, te tłumy paryzkie! zwłaszcza w czasie wystawy i na samej wystawie! Dla morza głów, kapeluszy i parasoli nie widzi się połowy tego, coby się zobaczyć chciało, nie można się skupić ani na chwilę, podziwiać i zachwycać się w milczeniu. Ale trudno, każdy ma swoje prawa i swoje własne pretensye! jabym tylko chciała, aby w niektórych przynajmniej razach więcej tu było sforności, a mniej hałasu. Z drugiej znów strony czuję, że do wszystkiego przyzwyczaić się można i — jakbądź — mniej mnie już dzisiaj razi niejedno, aniżeli w pierwszych dniach po przyjeździe. Gwar i wieczorne tłumy na bulwarach mają już inny charakter; warto się przypatrzeć temu życiu i chwilom wytchnienia Paryżan na ulicy przy stolikach przed kawiarniami. Bulwary wieczorem przedstawiają się wspaniale; światło bije ze wszystkich okien, jest tak jasno, jak we dnie, a poroztwierane okna i drzwi dozwalają widzieć bogate i piękne urządzenie wewnątrz licznych kawiarni i restauracyi.

Zaletą, a raczej cnotą, której odmówić Francuzom nie może nawet nieprzyjaciel, jest nadzwyczajna ich pracowitość. Pracują oni chętnie i nie wstydzą się grubej nawet pracy, a to nietylko ci, którzy na życie ciężko zarabiać zmuszeni, ale i ludzie dobrym cieszący się bytem i tak nieraz bogaci, że gdzieindziej podobni rolę panów już grają. Mówiono mi n. p., że pomiędzy ubranymi w bluzy, jak prości wyrobnicy, znajdują się milionerzy. Przekonałam się o tem prawie naocznie, bo widziałam takie „niebieskie bluzy“ jeżdżące drugą i pierwszą klasą kolei żelaznej. Gospodyni domu, a raczej pensyonatu, w którym mieszkam, bardzo miła i sympatyczna osoba, tylko w najgrubszej robocie wyręcza się służącą; ona sama, jej siostra i mąż, który w wolnych od zajęć domowych godzinach pracuje w redakcyi jakiegoś mniejszego dziennika, są ciągle na usługach swych gości i nie ubliża im to wcale. Rodziny, zajmujące piękne apartamenta przy najpierwszych ulicach, mające służbę i dom odpowiednio urządzony, nie prowadzą przecie życia bezczynnego; mężowie pracują w biurach, żony uczęszczają do magazynów. Zajęcia takie trwają do godziny 6-ej; potem pracownicy wracają do domu na obiad i otwierają swoje salony. W ten sposób dochodzą Francuzi do tych fortun kolosalnych, w ten sposób rozwija się między nimi dobrobyt. Praca daje im nadto trzy rzeczy, bez których życia nie pojmują Francuzi, a zwłaszcza Paryżanie: lubią bowiem pięknie mieszkać, dobrze jeść i dobrze się bawić. Kuchnia zajmuje tu bardzo ważne miejsce, a łatwo doprawdy być z niej zadowolonym: podają głównie mięso i jarzyny, przyprawa jest ostra, korzenna — słodycze ukazują się tylko przy deserach, które są jednak kilkorakie, a często liczba ich wyrównywa liczbie samychże potraw. Jeżeli chodzi o zabawę, wtenczas Francuz nie szczędzi niczego, tem mniej go powstrzyma wysoka cena płatnego wejścia do teatru, lub na jakiekolwiek widowisko — zresztą ma na to, więc używa, a to sprawia, że wszędzie jest pełno, że wszędzie spotyka się wszystkich. Cudzoziemcom, których obecna wystawa moc taką ściągnęła do Paryża, ma Francya sposobność okazać tego roku wyraźniej, niż kiedykolwiek, że jest najbogatszym krajem na świecie.

Kilka słów o wystawie zachowałam na koniec, bo i tak dochodzą was o niej najdrobniejsze nawet szczegóły, a ciekawe opisy czytałam już sama w Poznaniu przed mym wyjazdem.

Byłam dotąd na wystawie siedm razy i naturalnie — jak wszyscy — jestem zachwycona, olśniona. Są tu cuda prawdziwe, o których mi się ani śniło w prostocie ducha: gmachy i pawilony zadziwiają strukturą, przepychem i ogólną pięknością, inne są lekkie i wytworne; tam znów małe, prawdziwe pieścidełka, a wszystko, zda się, dotknięciem różdżki czarodziejskiej wywołane, takie to niezwykłe i olśniewające. Ulica Kairo przenosi nas myślą pod słońce afrykańskie, bo nietylko domy, ale i ubiory, produkta, wyroby tamtejsze oglądać tu możemy. Niezmiernie ciekawą jest historya ludzkich mieszkań: począwszy od przedhistorycznych siedzib w skałach do wieków średnich i renessansu, wszystkie style przesuwają się przed naszemi oczami. Bogate pawilony poszczególnych państw amerykańskich znajdują się na *Champ-de-Mars*, na *esplanade des invalides*, która to przestrzeń wystawy budzi ogólnie bardzo żywy interes, podziwia się przede wszystkiem pałac kolonii francuzkich, wyniosłe pagody i przeróżne, nieznane nam rzeczy w strukturze, produktach i wyrobach obcych części świata. Na *Trocadero* cudowne kwiaty, rośliny i wszelkiego gatunku owoce ściągają licznych znawców, lub amatorów — a wieczorem elektryczne i różnobarwne oświetlenie całej wystawy, kolorowe fontanny, ognie bengalskie i sztuczne rakiety przedstawiają obraz czarujący, z „Tysiąca i jednej nocy“ wyjęty.

Poszczególnie zwiedza każdy na wystawie to, co go najwięcej zajmuje — dla mnie największą ponętą jest pałac sztuk pięknych, gdzie i rzeźby i obrazy obficie, a doborowo się przedstawiają.

Między francuzkimi malarzami B o u g u e r e a u najwięcej zwraca uwagę, z obcych M u n k a c z y i B r o z i k. Spotkałam tu i naszych, jak: S z y m a n o w s k i e g o, C h e ł m o ń s k i e g o, A l c h i m o w i c z a, S z y n d l e r a, a nawet „Kościuszkę pod Racławicami“ M a t e j k i, ale obraz ten, źle umieszczony, przedstawia się mniej dobrze, aniżeli w Poznaniu. W pałacu sztuk wyzwolonych oglądamy z zajęciem dział szkolnictwa elementarnego i wyższego, wzory rysunkowe, fotografie, druki, meble artystyczne, muzyczne instrumenta i t. p. Dziwna rzecz, iż nieobecność Niemiec na tej wszechświatowej wystawie nie daje się tu uczuć bynajmniej, nie zmniejszyła ani na jotę jej świetności i blasku nie odebrała.

Sławną wieżę E i f f e l znacie tam już wszyscy tak dobrze z przeróżnych reprodukcyi, jak ja ją znałam, zanim ujrzałam ciekawemi oczami. Zaraz na pierwsze wejrzenie zdumiewa i niemal przeraża ogromem i kunsztem, pomyślisz natychmiast, że to istotnie ósmy cud świata. Byłam nietylko na pierwszem i drugiem, lecz nawet na t r z e c i e m j e j p i ę t r z e w znajomem kółku osób pięciu, a z całym tłumem obcych i nieznanych. Na pierwszą i drugą platformę przybywa się windą, lub wolno iść pieszo schodami, na trzecią tylko windą puszczają. Szczyt wieży chwieje się podobno bez ustanku na pół metra w jednę, pół metra w drugą stronę, jadąc jednak w górę, lub stojąc na platformie, nie czujesz tego, i może tylko przez imaginacyą zdawało mi się chwilami, że lekkie drżenie uczuwam. U szczytu tak jest zimno, tak przejmujący wiatr wieje, że całe to trzecie piętro oszklone jest wokoło, jak latarnia, podczas gdy piętra dolne nie mają wcale okien, tylko otwarte są, jak balkony. Całe towarzystwo nasze kupiło sobie pamiątkowe medale ze znakiem trzeciej platformy, na drugiej zaś imiona i nazwiska nasze zostały wydrukowane w odpowiednim numerze „Figara“. Widok na wystawę najpiękniejszy jest z pierwszego, a zwłaszcza z drugiego piętra, przedstawia się ona z wszelkiemi szczegółami, co później pomaga wielce do oryentowania się i zwiedzania; z trzeciego piętra wystawa, jej gmachy, ogrody i ludzie zdają się być z dziecinnego pudełka wyjętemi zabawkami, za to Paryż i okolice przedstawiają się stąd wspaniale i majestatycznie.

LIST KRASZEWSKIEGO

DO PAULINY WILKOŃSKIEJ

opisujący,

w jaki sposób ten sławny pisarz uuiknął zesłania na Sybir.

Z autografu.

Daruj mi, Szanowna Pani, dłuższe milczenie; nie podziękowałem nawet za Mrowin i Trock, które dopiero teraz po powrocie z niefortunnej bardzo wyprawy ku Krakowu, przeczytałem jednym tchem z największą przyjemnością — taki to obraz pełen prawdy i rzewności, takie to nasze własne i przypominające jeszcze niedawne czasy. I wybór przedmiotu i wykonanie nadzwyczaj troskliwe; nie dziwię się, że miała powieść i mieć będzie trwałe powodzenie, bo jest jedną z najśliczniejszych, jakie od dawna czytałem. Ale potrzeba koniecznie wydać ją ładniej, bo się to wydanie wkrótce wyczerpie.

Wspomniałem o wyprawie do Krakowa. Jeszcze po niej chory jestem i podraźniony; widziałem się w niej z blizka z cytadelą i Sybirem. Rzecz się miała tak. Pojechałem na Mysłowicie i Szczakowę. Schodzą się tu trzy granice: austryacka, pruska i polska. Miałem mój paszport, ale od kilku miesięcy przeterminowany, z którym wszakże ciągle jeździłem i puszczano mnie. W Mysłowicach (Prusy) puszczono mnie; w Szczakowej komisarz austryacki zatrzymał i nie pozwolił jechać dalej, prawie zmuszając, abym wracał do Polski. Po 24 godzinach kłopotu z nim odesłano mnie do granicy pruskiej w Mysłowicach, gdzie burmistrz oświadczył mi, że przez Prusy mnie nie puści, że muszę powracać do Polski. Na usilne naleganie pozwolił telegrafować do Oberprezesa v. Schleinitz, który odpowiedział, że przez Prusy jechać nie dozwolił. Zostawało mi więc, gdy nie puszczano do Austryi, jedno tylko — być zmuszonym wracać do Polski. W tej chwili miałem notaty, papiery i wcale się do tego nie kwalifikowałem, bobym prosto co najmniej pojechał na Sybir. Ostatecznie zmuszony naleganiem do tego powrotu chwycić się jedynego środka ocalenia, uciekłem pieszo, tłukąc się całą noc po bocznych drogach i zmylając pogonie. Burmitrz mysłowicki sprowadził (to fakt) oficera rosyjskiego od obieszczyków, aby mu mnie oddać. Miarkuj, Szanowna Pani, co ucierpiałem. Paszport mój stracony, ale życie ocaliłem z pomocą nieznajomego mi, ale wielkiej zacności młodego człowieka, który się poświęcił, aby mnie ocalić i z wielkiem poświęceniem to dokonał. Wróciłem chory i przybity; dotąd do siebie przyjść nie mogę. Była to łapka, urządzona widocznie na mnie, bo na pierwsze wejrzenie na paszport urzędnicy mnie zmuszać zaczęli do powrotu do Królestwa.

Nie mam sobie do wyrzucania nic, gdyż niedawno za tym samym paszportem byłem w Austryi; puszczano mnie na Bodenbach i Pragę. ale w Pradze Czesi mnie hałaśliwie przyjmowali i w parę godzin po wyjeździe przychodziła policya dowiadywać się o mnie. Zresztą podróż była konieczną. Poczciwy Bronisław K. i siostra jego, przypadkowo spotkani i żydek, który mi z nimi ułatwił ucieczkę, ocalili mi istotnie życie. Gdybym się dostał w ręce moskiewskie, po mnie by było. Jestem aż nadto skompromitowany w miarę innych, którym nie przebaczono. Otóż przyczyna milczenia. Przygoda ta była z d. 3 na 4 Grudnia, dzień po dniu w 32 lata (rocznicę) pierwszego mojego więzienia w 1831 roku. Nie jestem przesądny, ale się czasem dziwnie składają wypadki.

Horyzont polityczny dosyć chmurny; Rosya ze swą dyplomacyą dokazała tego, że odosobniła Francyą, a prawie na nowo ulepiła święte przymierze. Co dalej? To w ręku Bożem. Ale wierzym w sprawiedliwość Jego i ufajmy, że ostatecznie, mimo strasznych ofiar przyjdzie słońce choć na zielone mogiły nasze....

Z prawdziwym szacunkiem i poważaniem
przyjaciel i sługa

J. I. Kraszewski.

Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, społeczne i rozmaitości.

Francuzka literatura zapisała na swoich kartach wiele imion znakomitych kobiet. Panią d e S é v i g n é jeszcze za życia nazywo „boską“; pani d e l a F a y e t t e zostawiła znakomity romans w stylu rasynowskim; każda kobieta siedemnastego wieku zdolną była lepiej pisać‘ jeżeli mamy wierzyć C o u r i e r o w i, niż najlepsi pisarze francuzcy dzisiajszej doby. One pisały dobrze, nie przykładając do tego żadnych starań. Autorki ośmnastego wieku zajęły także niepoślednie miejsce w literaturze. Pani d e S t a ë l i G e o r g e S a n d były już autorkami w najszerszem tego słowa znaczeniu, obdarzonemi prawie geniuszem; pierwsza z nich uposażoną była umysłem otwartym, poważnym chociaż entuzyastycznym; druga wielką miłością, namiętnością uczucia, obfitą i łatwą wyobraźnią, potoczystym stylem. A dzisiaj? ileż to pięknych paluszków niewieścich we Francyi i u nas goni piórem uciekającą po gładkim papierze sławę, ile poematów, noweli powieści muszą czytywać redaktorowie!

Kaliszanin, pismo, należące do najlepiej redagowanych pism prowincyonalnych, zamieszcza prawie bez przerwy różne, nader cenne materyały historyczne, czerpane z archiwów kościelnych i prywatnych. Obecnie pismo to drukuje bardzo zajmujące: „Pamiętniki domowe rodziny Lipskich z Lipego (1603 do 1713 roku)“

Jeden z naszych historyków-heraldyków zajmuje się obecnie ułożeniem alfabetycznem źródłowego spisu nobilitacyi i indygenatów polskich od czasów najdawniejszych aż do roku 1794.

Uniwersytet krakowski poniósł dnia 29 czerwca nader bolesną stratę przez zgon profesora prawa, M a u r y c e g o F i e r i c h a, który, licząc zaledwie trzydziesty czwarty rok życia, zgasł nagle, paraliżem serca rażony.

W Rzymie poczęło wychodzić dwa razy na tydzień pismo, redagowane po łacinie, pod tytułem „Alaudae“ (Skowronki).

Na wystawie tegorocznej w Barcelonie nagrodzono złotym medalem obraz M a n u e l a d e l a R o s e, pod tytułem „V i v a.“ Artysta umiał zarówno podniecić zmysły, jak i patryotyzm rodaków. Posadził na krześle wśród kwiatów typowę Hiszpankę z dziarską miną, dał jej w rękę lampkę wina i kazał wznieść toast na pomyślność Katalonii.

W świecie muzycznym koncerta pana P a d e r e w s k i e g o głębokie sprawiły wrażenie. Od pierwszego wystąpienia cała prasa hojnie sypnęła wieńce i oklaski na cześć utalentowanemu artyście. Słynny fortepianista D u v e r n o i s, profesor konserwatoryum, słysząc go, zawołał z uniesieniem: „To po prostu R u b i n s t e i n, ale R u b i n s t e i n bez fałszywej nuty.“ Krytyk brukselski F e t i s nazywa go zadziwiającym wirtuozem, który nietylko zdumiewa, ale i czaruje słuchaczy, a co więcej, pokazuje

grą swoją, jak cudowne dźwięki może ręka mistrza wydobywać z fortepianu.

Warszawa miała sposobność zabrania znajomości z Dahomejczykami, którzy popisywali się tańcem i śpiewem na arenie letniego cyrku w dolinie szwajcarskiej. Impressario ich obrał sobie specyalność sprowadzania do cywilizowanej Europy rozmaitych dzikich plemion afrykańskich i azyatyckich; obwoził dotąd karawany Zulów, Kafrów, Indyan, a ostatecznie Dahomejczyków. Sam jest typem godnym widzenia, jako okaz Hindusa, który w Europie przyjął ogładę i obyczaje świata cywilizowanego.

Obecna wystawa paryzka kosztuje miasto 50 milionów franków, a ponieważ wystawcy wydadzą najmniej 150 milionów franków, przeto ogólny koszt wyniesie 200 mil. fr. Jeżeli wystawa trwać będzie 180 dni po 9 godzin dziennie, publiczność będzie ją mogła zwiedzać w ciągu 1620 godzin. Każda godzina kosztowałaby więc 123 tysiące franków. Ponieważ przedłużono otwieranie wystawy przez pięć godzin, przeto koszt jednej godziny zniża się do 70,000 franków.

Komisya specyalna wystawy Paryskiej uchwaliła, że byłoby barbarzyństwem rozebranie na jesień malowniczych i pięknych pałaców wystawy, które ściągają dziś pielgrzymów z całego świata. Postanowiono więc zachować główniejsze i celniejsze gmachy, budowane w sposób trwały i przeznaczone na długowieczność; na polu Marsowem zaś chcą założyć piękny park i inne rozsiać ozdoby.

Złote medale wystawy paryzkiej otrzymały trzy kobiety: Francuzka Dumont Breton, Szwajcarka Breslau i w wydziale międzynarodowym — Michelena.

Wielka pani angielska, lady Carlisle, chcąc zapoznać lud swoich włości z wielkością i z cywilizacyą Londynu, zaprasza do siebie do Londynu swoich dzierżawców, którzy odpowiadają naszym gospodarzom, i tam pokazuje im osobiście wszystko, co tylko stolica Anglii ma godnego szczególnej uwagi. W program ten wchodzi i bytność w Parlamencie, dokąd przed miesiącem wprowadzonych zostało sześciu wieśniaków na galeryą Izby Niższej przez znajomego lady lorda Lawson.

Sztuka fotograficzna olbrzymie czyni postępy i dziś już znaczne oddaje usługi nauce, przemysłowi i sztukom pięknym. I tak, obecnie można fotografować nietylko pocisk w locie, ale nawet oznaczyć położenie jakie stopniowo przybiera, zanim dotknie ziemi.

Wedle doniesień pism new-yorskich Edison pracuje obecnie nad przyrządem, za pomocą którego możnaby widzieć, co się dzieje w odległości kilkuset wiorst. Będzie to rodzaj fotoskopu, połączonego z mikrofonem.

Grono pań arystokracyi i inteligencyi angielskiej wydało odezwę do kobiet swojego narodu przeciw udziałowi kobiet przy głosowaniu wyborczem do parlamentu, wykazując różnicę powołania obydwóch płci.

W Wiesbadenie praktykuje przez czas sezonu kąpielowego masażystka Marya Kolnarska, pochodząca z Proszowskiego. Kształciła się ona do zawodu medycznego w Utrechcie, a mieszka stale w Frankfurcie, gdzie się wielką cieszy wziętością.

Podczas okropnej katastrofy w amerykańskiem mieście Johnstown, niedawno powodzią zupełnie zniszczonem, bohaterską odegrała rolę jakaś telegrafistka, od dwudziestu pięciu lat spełniająca swój urząd przy aparacie w Johnstown. Do ostatniej chwili nie chciała się ruszyć ze swego stanowiska, wysyłając co chwilę w świat depesze o rozwoju i postępie klęski. Widząc zaś ostatecznie niechybną zgubę swoję, zatelegrafowała z całym spokojem te heroiczne wyrazy: „Jest to moja ostatnia depesza.“ W kilka minut później woda zalała stacyą i rozbiła budynek telegraficznego urzędu.

Na Manilach i na Filipinach wybuchła bardzo silna cholera. Ponieważ komunikacya wodna między temi wyspami a Barceloną, Marsylią i Tryestem jest bardzo ożywioną, więc obawiać się należy przeniesienia tej zaraźliwej choroby do Europy.

Na uczczenie stuletniego jubileuszu istnienia miasta Odessy mają zamiar panowie Skalkowski i Tronicki wydać „Historyą Odessy.“

Promyki.

Z pism Carmen Sylwy.

Miłość tak jest potrzebną młodej istocie, jak promień słoneczny rozkwitającej roślinie.

Ręka, choćby uzbrojona ostrym mieczem lub sztyletem, nie zdolna tyle ran bolesnych zadać co język.

Szczęście w oddaleniu wydaje się tak wielkiem, jakoby się opierało o niebiosa, ale skoro przestąpi nasze progi, przybiera tak małą postać, że nieraz go nawet nie widzimy.

Dla czego sąd kobiet jest często niesprawiedliwy a nawet gwałtowny? Oto zwykle wydają wyrok na mocy pojedyńczego wypadku, który uważają za regułę.

HUMORYSTYCZNE.

Żebrak: — Upraszam pokornie o kilka groszy.
Pan: — Naturalnie na to, abyś sobie mógł wódki kupić!
Żebrak: — Niech wielmożny pan da markę to sobie kupię wina.

Tylko przez zemstę. — Jakto, i pan się żenisz? znany powszechnie nieprzyjaciel małżeństwa!
— Tylko przez zemstę, łaskawa pani. Mój przyjaciel nie zaprosił mnie na swoje wesele, chcę mu więc oddać wet za wet.

Usprawiedliwienie. — Co ty sobie myślisz, malcze, ośmiu lat jeszcze nie masz, a już palisz papierosy?
— Dopiero od roku, proszę pana.

Uczciwość fornala. Teraz, kiedy już odchodzę ze służby — mówi fornal do swego pana — muszę ostrzedz wielm. pana, że kluczem od stajni można także śpichlerz otworzyć.

Rozwiązanie łamigłówki

w n. 21 Domu polskiego.

1. Kalikstyni. — 2. Ruryk. — 3. Abatos. — 4. Saratow. — 5. Zeno. — 6. Eryk. — 7. Wąwoz. — 8. Sielec. — 9. Kamczatka. — 10. Izaak.

Kraszewski. — Kaczkowski.

TREŚĆ: Kazimierz Odnowiciel. (Wyjątek z przygotowanej do druku „Świątyni Narodowej Sławy“.) (Wiersz.) Przez Sewerynę Duchińską. — Ibrang-Hoihsthol. (Z kartek szukającego ideałów.) W. M. (C. d. n.) — Hrabina Thea. Przez Elizę Polko. Tłomaczyła Anna Pilaska. (c. d. n.) — Korespondencya „Domu polskiego“: Z Paryża. (Dokończenie). — List Kraszewskiego do Pauliny Wilkońskiej opisujący, w jaki sposób ten sławny pisarz uniknął zesłania na Sybir. (Z autografu). — Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, społeczne i rozmaitości. — Promyki. Z pism Carmen Sylwy. — Humorystyczne. — Rozwiązanie łamigłówki w nr. 21 „Domu polskiego.“

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.